№ 45. Warszawa, dnia 23 Maja / 4 Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

KWESTYA OŚWIATY

KLASS PRZEMYSŁOWYCH.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 44).

Dotychczasowy kurs nauki elementarnéj jest stanowczo za krótki, bo nie jest pełny, nie jest całkowity. Uczeń, któremuby dano ukończyć *całkowity* kurs nauk elementarnych, byłby nietylko zdolniejszym uczniem w fabryce, ale nadto miałby prawo odbyć pierwszą naukę fachową w czasie daleko krótszym jak dotąd. Że ludziom, którzy nauki wzorowo pokończyli, dają niektóre władze i instytucye znaczne ulgi, dowodem jest np. zwyczaj powszechny w armiach, gdzie indywiduom przychodzącym z lepszém wykształceniem skraca się *o dwie trzecie* czas służby; podobnież w Anglii, Belgii, Niemczech można czytać coroczne ogłoszenia kupców i fabrykantów, że uczniom posiadającym naukową kwalifikacyą skrócony będzie czas nauki o ⅓ lub o ½, stosownie oczywiście do skali wykształcenia. Co więc możebném jest gdzieindziéj, może miéć miejsce i u nas. Przewiduję zarzut, jakiby mi tu panowie pryncypałowie zrobić chcieli, a mianowicie, że uczeń ubogich rodziców nie ma czasu chodzić długo do szkoły, ponieważ te lata potrzebne są przedewszystkiém na to, ażeby uczeń miał czas wypłacić się pryncypałowi swemu za stół, stancyą i naukę: na to zdaniem ich potrzeba co najmniéj (!) 5 lat... Otóż w tym właśnie punkcie pozwalam sobie mieć inne zdanie. Przedewszystkiém niech w 1-m roku nie pędzą chłopca do kuchni lub na posługi nie mające nic wspólnego z przyszłym zawodem, lecz niech mu wyłożą zasady pracy, do której zasiada, a już tu chłopiec zyska rok jeden; powtóre, niech i w następnym 2-gim i 3-cim roku pozwolą mu pracować również systematycznie przy warsztacie, a mogą być pewni, że taki uczeń po 3-ch a najwyżéj 4-ch latach systematycznéj pracy będzie doskonałym czeladnikiem, pryncypałowi zaś swemu przez te dwa lub trzy lata z lichwą odrobi stół i naukę. Pryncypał liczy sobie każdą krupkę, każde ziarnko soli zjedzone przez ucznia, a uczniowi nie liczy jego ściegów, jego sztab wykutych, jego tarcic sheblowanych...

Jedyném u nas ustępstwem ze strony pryncypałów na rzecz uczni jest łaska, że im pozwalają chodzić do szkół niedzielnych. W braku czegoś lepszego dobrém jest i to ustępstwo. Ale jakżeż daleką jest szkoła niedzielna od celów prawdziwych; a ileż w niéj wadliwych stron! Czas tych szkółek tak jest ograniczony, że nawet najdzielniejsi nauczyciele nie są w stanie uczynić zadość warunkom rzetelnego wykładu. Wykład ślizga się po wierzchu, przedmiot goni za przedmiotem, środków i okazów uprzystępniających naukę ani sposób użyć, a tu czas mija—mija tydzień—a po tygodniu cóż się z nauki zeszłoniedzielnéj ostać może?... Za tém idzie, że ponieważ nauka niedzielna jest w gruncie tylko rzeczą dodatkową, podrzędną, więc nic dziwnego, że i uczniowie tak samo się na nią zapatrują. I jakiż przy takiém zapatrywaniu się młodzieży na ich własną instytucyą może być owoc szkółek niedzielnych? Zdaniem naszém jest to czas najzupełniéj stracony; dla uczni zas wynika z tego jeszcze i ta cięższa strata, że jedyny dzień wypoczynku w tygodniu schodzi jéj ni nauce ni na rozrywce; w każdym-bo razie dzień ten jest ich własnością, czemuż go więc na równi ze studentami nie mają obrócić na potrzeby swego zdrowia?

Za wadami szkół niedzielnych i za tém lekkiém traktowaniem nauki niedzielnéj idzie długi szereg fałszywych zdań i przekonań, niemniéj wrogich prawidłowemu rozwojowi przemysłu naszego. Przemysłowcy upominają się nieraz sami o podniesienie dotychczasowego poziomu nauki elementarnéj między uczniami. Ale jakież jest w tym względzie ich rozumowanie? Zdaje im się, że zadaniem szkoły powinno być jedynie wykształcić chłopca na indywiduum zdolne wyciągać jak największe zyski ze swego rzemiosła: z tego stanowiska zapatrują się oni na znaczenie i na cel nauki, z tego stanowiska oceniają wartość szkoły i z tego także stanowiska patrzą na swe rzemiosło. Ztąd owa średniowieczna strupieszałość zwyczajów, przekonań, przesądów; ztąd ta ogólna ciemnota, skamieniałość w rozumie i praktyce; ztąd niedołęztwo, partactwo, nieakuratność, mitręga, zawody, w końcu i skargi ogólne na przemysłowców. Tu właśnie otwiera się szerokie pole do pomysłów i działalności dla władz, dla pedagogów i ekonomistów. Czas doprawdy pomyśléć seryo nad tém, jak zaradzić złemu, jak dźwignąć oświatę między tą klassą ludności i jakie w tym względzie przedłożyć projekta władzom miejscowym. Na nic się nie zdadzą wszelkie stowarzyszenia *spożywcze*, *pożyczkowe*, *bazarowe*, na nic książki i pisma peryodyczne, pokąd przemysłowcy nasi, mianowicie drobniejsi rzemieślnicy, nie nauczą się gruntownie czytać, pisać, rachować, książki kupować, pojmować ważność pism popularnych, specyalnych, peryodycznych i tym podobnych środków oświaty. Bez tych początków szkoda czasu i zachodu na stowarzyszenia, które w tym stanie rzeczy nie dziś to jutro o lodowatą obojętność i ciemnotę rzemieślników rozbić się muszą. Ten

letargiczny sen przemysłowca przerwać trzeba koniecznie, bo inaczéj przejęci wyłącznie ślepą i w dodatku źle zrozumianą zasadą zysku zejdą do stanu automatów nie czułych nawet na żadne w świecie zasady cywilizacyi i dobrodziejstwa postępu. Oprócz bowiem fachowego zastoju, jaki już panuje od wieków w naszym przemyśle, grozi téj klassie jeszcze inne niebezpieczeństwo, a tém jest nienawiść do klass innych, zdziczenie, wyosobnienie—słowem: całkowity upadek moralny. Prawda, że prąd czasu, że nawet cywilizacya sama niesie nieraz z sobą także mnóztwo złych pierwiastków; aleź trudno znowu dla kilku złych objawów powstrzymywać oświatę w biegu; owszem, szaleństwem byłoby nie do darowania chcieć odwracać koryta postępu dla tego, że niemi także złe pierwiastki do nas płyną. Jedynie prawdziwą oceną postępu może być tylko ta prawda oczywista, że z przyrostem oświaty obok złych wpływów mamy daleko więcéj dobrych czynników do wyboru i że zadaniem każdego społeczeństwa jest właśnie korzystać tylko z tego co dobre, aby go użyć jako broni skutecznéj przeciw temu co złe i niebezpieczne. Taż sama oświata, która z człowieka puszcz i lasów zrobiła stworzenie słabe i wątłe jak trzcina, czyż mu potém nie dała środków do ręki przeciw upadkowi fizycznemu.

Przeniesmy to porównanie do dziedziny życia umysłowego, mianowicie handlu i wyższego przemysłu rękodzielniczego. Broń nas Boże od ciemnoty średniowiecznego ludu! ale kto jeszcze w tym gwałtownym potoku dzisiejszego handlu i przemysłu nie stracił resztek przytomności, sam zapewne dostrzeże niebezpieczeństwo, jakie zagraża obecnie społeczeństwu, mianowicie klassom nie posiadającym tyle sił i zasobów nauki, ażeby się umieć rozprawić z każdym złym wpływem. Ogromny przyrost i pośpiech pracy, fabryczne upędzanie się za zyskiem mniejsza o to jaką drogą nabytym, konkurencya zniżająca się aż do podrabiania fałszywych towarów, chuć inwencyi, silącéj się na sposoby, jak podejść, zerwać i zrujnować prawnie ofiarę: oto niebezpieczna przymieszka postępu. A chodź nam w tém wszystkiém o *człowieka*. Pod naciskiem interesu drętwieje myśl i wola jego, praca staje się machinalną, całą zaś jedyną maksymą życia takiego człowieka jest idea zysku. Kwitną kwiaty, szumią lasy, świecą gwiazdy po dawnemu—ale on *nie ma czasu* cieszyć się z cudów przyrody; płynie po dawnemu potok życia duchowego, podsycany maksymami prawd i pociech serdecznych—ale on *nie ma czasu* odmładniać i krzepić swych myśli w tych krynicach życia; ma wreszcie przyjaciół, ma żonę, ma dzieci, ma Boga w niebie—ale on *nie ma czasu* i na to...

Największym atoli wrogiem normalnego rozwoju téj klassy ludu jest nowoczesny mechanizm i podział pracy; o wyjątki, któreby umiały stawić czoło zabójczym wpływom pracy fizycznéj, niezmiernie dziś trudno. Bystrość rozumu, świeżość myśli i uczuć, humor i swoboda człowieka marnieją z dniem każdym. Mechaniczna praca pociąga za sobą jeszcze i te straszne objawy, że robotnik taki *nie myśli wcale*—nie myśli nawet o tém co ma pod ręką. Nie jeden człowiek taki podobny jest do owego kopisty sławnego, który, gdy mu kazano przepisać wyrok śmierci na niego samego wydany, nie domyślił się nawet, że przepisuje własne nazwisko. Iluż to z tych ludzi tępieje w ten sposób przy pracy! Jedyną ich winą jest chyba zasługa, że całą istotę swoją utopili w pracy. Że taki tryb życia przy zupełnym braku nauki musi kiedyś dać się we znaki nawet samemu przemysłowi, o tém wątpić nie można.

Prawem jest powszechném, że tylko pewna cząstka ogólnego wykształcenia przypadać powinna na potrzeby fachu, reszta zaś daleko większa i ważniejsza, przeznaczoną jest na wykształcenie człowieka jako cząstki społeczeństwa. Są oczywiście ludzie, są klasy całe—a jedną z nich jest właśnie także klasa przemysłowców — co to nie znając i nie rozumiejąc praw i potrzeb postępu, nie mają i nie mogą mieć także dokładnego pojęcia o doniosłości oświaty. Zdaniem ich to tylko do życia jest potrzebném, co ma wartość jedynie materyalną i natychmiastową. Ludzie tacy oceniają oświatę i potrzebę nauki właśnie tylko ze stanowiska wpływu, jaki ona wywiera w danéj chwili na bezpośredni zysk z produkcyi. Innego stosunku nauki do człowieka do potrzeb ducha, nie mają i nie aprobują. Tu gotów kto pomyśleć, że materyalne i duchowe potrzeby człowieka wprost przeciwnych wymagają kierunków w kształceniu młodzieży. Sprzeczność to tylko pozorna. Obadwa kierunki wykształcenia stoją nietylko w prostym stosunku do siebie, ale się nawet uzupełniają wzajemnie. Nawet czas, przeznaczony na wykształcenie człowieka w tych dwóch kierunkach, nie potrzebuje być osobny; nie wolno tylko rozpoczynać nauki fachowéj nazbyt wcześnie, i niewolno również kończyć wykształcenia naukowego w wieku takim, w którym się dopiero właściwa nauka zacząć powinna. Skalą prawdziwego wykształcenia we wszystkich rozgałęzieniach nauki nie jest bynajmniéj summa chwilowych wiadomości, z jakiemi człowiek ze szkoły wychodzi, ale jest nią dopiero sam kwiat i owoce z nauki leżącéj *poza* nami. Gdzie więc szkoła elementarna dąży mianowicie do tego, ażeby uczeń umiał późniéj poglądać trzeźwo na świat i na potrzeby własne, gdzie główném szkoły zadaniem jest stworzyć i rozwinąć samodzielność w człowieku, gdzie szkoła świadomą jest owéj najważniejszéj maksymy oświaty i pedagogii, że uczyć znaczy to *wychowywać* na człowieka, gdzie więc w planie szkoły napisano: *siła woli, prawość w życiu, wytrwałość w pracy i świadomość przekonań*, to o szkole takiéj powiem, że jest matką, która zrozumiała dobro swych dzieci.

Przemysłowcy nasi kształcą się dzisiaj tylko jeszcze na ludzi czysto fachowych: na ogólne, wszechstronne wykształcenie brak im czasu.— Czas, który miał być poświęcony obudwu kierunkom wykształcenia, zostaje zużyty na wyłączne cele jednego kierunku. Otóż temu od wieków zakorzenionemu systemowi wychowywania dzieci między przemysłowcami zapobiedz trzeba koniecznie, jeśli nie cheemy, by nam wytykano ciągle braki i luki w oświacie — że już pominę inne drażliwsze zarzuty. Ogół nawet sam wiele, wiele zrobić tu może. Dobra wola zawsze nas do celu zaprowadzi; nie ma przeszkód, nie ma trudów i mozołów tak ciężkich i nie podobnych, żeby ich przy dobréj woli nie można było pokonać. Nie sztuka chodzić bitemi drogami— niech też każdy udepcze sobie własną ścieżkę: wszystkie one wyjdą zawsze do jednego celu— do oświaty i dobrobytu błogosławionego.

Zachodzi tylko pytanie, czy ogólne gruntowe wykształcenie przemysłowców naszych będzie kiedykolwiek możliwém, pókąd się nie wyrzekną fatalnego zwyczaju odrywania dzieci w tak młodym wieku od szkoły. Toć już w warunkach, w jakich się dzisiaj szkoła elementarna znajduje, nie podobna jest wymagać od niéj, ażeby starczyła na wszystkie potrzeby, jakich postęp tegoczesny od nas wymaga; w cóż więc dopiero obrócić się może indywiduum takie, któremu i z takiéj szkoły korzystać należycie nie dozwolono! Czas szkoły jest niezmiernie krótki, a jak go jeszcze obcinać będziem po dawnemu, to nam pozostanie w rezultacie... *zero* w najliteralniejszém tego słowa znaczeniu.

Cóż więc pozostaje do zrobienia? Zdaniem naszém nic innego, jak *rozszerzyć dotychczasowy zakres szkoły elementarnéj o dwie nowe klassy, dla młodzieży rzemieślniczéj i przemysłowéj w ogóle*. Dwie te klassy obejmowałyby 14-sty, 15-sty i 16-sty rok życia, to jest właśnie ów czas, kiedy uczeń zasiada przeszło od roku przy pracy fachowéj. Dzisiejszą szkołę elementarną możnaby porównać z domem, któremu dachu brakuje, albo z posiewem, po którym w sposób niewytłómaczony zrzekamy się żniwa. Przecież sam młody wiek ucznia nie pozwala na całkowite wyczerpanie nauki elementarnéj, a kiedy natomiast wejdzie chłopiec nareszcie w lata, w których mógłby dopiero w pełnéj sile ducha i sił fizycznych korzystać należycie z nauki i rozwinąć rzetelnie wszystkie swe władze, wtenczas to przerywamy mu naukę na poły i zamykamy księgę światła na zawsze. Czemuż nie mamy oddać szkole tego, co jéj się z prawa należy? Dajmyż jéj czasu poddostatkiem, czasu, który tak szczodrze ustępujemy panom pryncypałom, a szkoła spełni należycie swe zadanie. Tylko niech i pryncypałowie zastosują się także do potrzeb i warunków oświaty. Niech pamiętają, że mieliby przecież do czynienia z młodzieżą zasobną w naukę, i że się nią już właśnie dla tego gorliwiéj i systematyczniéj zająć wypadnie. Rozumie się samo przez się, że przy skróconym czasie nauki fachowéj nie będą mogli ciągnąć nadal niektórych zysków z pięcioletniéj służby uczni, —ale straty te wcale nas tu obchodzić niemogą i w niczém nie zmieniają naszéj kwestyi.

(*d. n.*)

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 44).

Pogrzeb odbywał się z wielką uroczystością. Cały skład uniwersytetu assystował przy trumnie. Wtedy dopiero zaczęto mówić o gruntownéj nauce, pracy i poświęceniach zmarłego. Rzeczywiście pokazało się z rachunków, które rozejrzał Szwarc, że nieboszczyk zarabiał około czterech tysięcy rocznie. To wszystko szło na wdowę—sam żył jak pies. To dobrowolne a ciche bohaterstwo długą mu zjednało pamiątkę w sercach młodzieży. Poodkrywano przytém rozmaite prace zmarłego, odznaczające się gruntowną nauką, a nawet i talentem; znalazł się także jego pamiętnik. Było to wypowiedzenie w prostych a nawet szorstkich słowach, wszystkich ciemnych stron życia w nędzy, rodzaj apologii namiętnych porywów młodości; tych cierpień urojonych a jednak rzeczywistych, walk, bolów, burz wewnętrznych i rozhoworów. Życie wewnętrzne egzaltowanych natur, odsłoniło się tam w całéj ponuréj uroczystości. Strach było spojrzeć w ten zamęt, którego nie znać w codziennem życiu, na tym „tak dyabelsko wyzłoconym świecie", jak mówi poetka. Pamiętnik czytano u Wasilkiewicza; była nawet

myśl drukowania go, ale to jakoś nie przyszło do skutku. Augustynowicz za to napisał wspomnienie pośmiertne o Gustawie. Bardzo wymownie przedstawił jego życie. Pokazał go od lat dziecinnych, kiedy to bywał jeszcze szczęśliwy. Urok opisu tych wiosennych chwil życia był tak wielki, iż zdawało się, że majowe słońce przyświecało piszącemu. Potém obraz się schmurzył: widać było jak nieboszczyk porzucił rodzinną chatę, jako pies, stary sługa, biegł za nim wyjąc... Potem było jeszcze ciemniéj: życie zaczęło nim potrącać, rzucać, kołysać i targać. Znów błysnął promień... Niby na obłoku w obręczce tęczowéj pojawiła mu się wdowa... wyciągnął ręce do tego światła „Resztę wiecie" pisał Augustynowicz. „Niech teraz śpi śniąc o niéj. Skowronek polny będzie mu śpiewał nad mogiłą jéj imię... Niech śpi spokojnie... Ogień zagasły, czara rozbita—oto Gustaw!"

Ale zwykle tak się dzieje, że dużo gadają po śmierci o człowieku, którego za życia ledwie że nie popychano. Damy więc pokój Gustawowi, a będziemy śledzili dalsze losy naszych znajomych, a w szczególności bohatera niniejszéj księgi: Szwarca.

U Szwarca nic się nie zmieniło, tylko on sam od czasu pierwszéj bytności u wdowy chodził jakiś zamyślony i milczący. Augustynowicz coraz więcéj przyzwyczajał się do nowego położenia. U generała tupano jak dawniéj—u inżyniera bębniono w fortepian jak dawniéj — hrabianka śpiewywała wieczorami jak dawniéj. Mieszkanie Gustawa zajął szewc z dwojgiem skrofulicznych dzieci, z żoną i z biedą trzecią: tam gdzie krążyły mysli téj szlachetnéj głowy i padały gorące słowa, teraz skrzypiały dratwy i pocięgle. Potkańska nie dowiedziała się nawet z razu o śmierci Gustawa—Szwarc to utaił, obawiając się zbyt silnego na nią wrażenia. Późniéj ze zdziwieniem przekonał się, że wieść tę przyjęła wprawdzie ze smutkiem, ale bez rozpaczy. Dużo mamy do opowiadania o tych nowych stosunkach; w następnym tedy rozdziale wprost już do nich przejdziemy.

VII.

Szwarc wedle przyrzeczenia danego Gustawowi, był u Heleny i za drugą już u niéj bytnością wyszedł rozkochany. Wracał późną nocą; na niebie skrzyły się gwiazdy; była pogoda; ode Dniepru dolatywał chłodny, ale rzeźwy powiew wody. Lekkie opary mgły wiły się długiem pasmem na wschodzie. Muzyka była w powietrzu i muzyka w piersi Szwarca. Kochał! Zdawało mu się, iż noc jasna obchodzi jego zaślubiny ze szczęściem. Pełne szczęście jest razem wspomnieniem i nadzieją,—Szwarc czuł jeszcze w dłoniach drobne ręce Heleny—tę chwilę wspominał, myślał o jutrzejszych pieszczotach — téj chwili spodziewał się. Dziwna rzecz! Ona go pożegnała słowem: „Pamiętaj!" a któżby mógł zapomnieć o szczęściu — zwłaszcza kiedy niém się przyszłość uśmiecha?

Kochał! Uciśnięty siłą i urokiem nocy, drżeniem gwiazd i majestatem ciemnych przestrzeni, rzucił wzrok pełny ognia w najdalsze krańce niebieskich samotni i drżącemi ustami wyszeptał:

— Jeśliś jest! to jesteś wielki i dobry!

Mimo warunku postawionego przed tym wykrzyknikiem, jak na Szwarca, było to bardzo wiele. Przyznawał wielkość i dobroć. Mówił „jeśliś jest", słowa te o kimś byłyby warunkiem, do kogoś—znaczyły potwierdzenie istnienia.

Szwarc mówił „Jesteś".

Mimo całego jego realizmu, nie dziwmy się tak bardzo tym słowom. Usta, które je wymawiały, świeżo piły z czary uniesienia.

Gdy Szwarc wrócił do domu, Augustynowicz spał w najlepsze; chrapanie jego słychać było już na schodach. Wyciągał piosenkę snu, to krótko, to długo, to ciszéj, to głośniéj, to sapiąc, to dmuchając, to gwiżdżąc.

Szwarc zbudził go.

Postanowił koniecznie go uściskać.

Augustynowicz wytrzeszczył nań zdziwione oczy i w pierwszéj chwili zawołał:

— Idź że do....

Szwarc rozśmiał się wesoło.

— Dobranoc! rzekł mu Augustynowicz—powiem ci jutro zkąd wracasz—dziś spać mi się chce—dobranoc.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem Szwarc nalewał herbatę, Augustynowicz leżał jeszcze na łóżku i patrząc w sufit palił fajkę.—Obaj myśleli o dniu wczorajszym.

Wreszcie Augustynowicz ozwał się pierwszy:

— Wiesz Szwarc, co mi przyszło do głowy?

— Nie wiem.

— To ci powiem: że niewarto życia wiązać z pierwszą lepszą kobietą—jak Jowiszowi dobrze życzę—niewarto! Są jednak rzeczy lepsze na świecie.

— Zkądże ci te myśli?

— Prosto z fajki. Człowiek tak się zwiąże, tak się zrośnie z jedną myślą, a potém przyjdzie lada przeszkoda, i ot! z tych pałaców tyle się zostanie, co z tego dymu, który puszczam w téj chwili.

Ogromny kłąb dymu, podnosi się w górę z ust Augustynowicza, i uderzywszy się o pułap—rozprasza się na wszyskie strony.

Rozmowa urwała się na chwilę.

— Szwarc, czyś ty się już kochał przed poznaniem Gustawa i Potkańskiéj?

— Czym się k-o-ochał? ciągnął Szwarc, przypatrując się pod światło szklance... Co?... a czym się kochał?... Tak, zawracałem sobie czasem głowę, nie wytrącało mnie to jednak ze zwykłych warunków życia, — nie odwodziło od porządku dziennego. Powiem otwarcie: nie kochałem się.

Augustynowicz podniósł cybuch z fajką w górę i uroczyście zadeklamował:

„Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!"

Szwarc się uśmiechnął:

— Alboż co?

— Nic,—to moje wspomnienia. E! zemną bywało inaczéj, szalałem parę razy jak waryat. Raz nawet mimo biedy probowałem być porządnym człowiekiem — trudno było, ale probowałem.

— A skończyło się?

— Prozaicznie. Dawałem lekcye u jednego właściciela domu. Było tam dwoje dzieci—małoletni syn i dorosła córka: syna uczyłem, a córkę kochałem. Otoż pewnego wieczoru łzy mi stanęły w oczach i powiedziałem jéj to: ona się zmięszała trochę, a potém się rozśmiała. Nie uwierzysz Szwarc co to był za brzydki śmiech! bo widziała ile mnie to kosztuje, a sama mnie ciągnęła poprzednio. Nakoniec poszła do mamy na skargę.

— A mama?

— Mama powiedziała mi: popierwsze, żem szubrawiec, na co jéj się ukłoniłem—po drugie, żebym sobie poszedł, a po trzecie cisnęła mi na ziemię pięć rubli, które podniosłem, bo mi się należały, i upiłem się za nie tego dnia w wieczór i na drugi rano.

— A potém?

— Potem drugiego dnia wieczór i na trzeci rano.

— I tak już ciągle?

— Nie. Czwartego dnia wypłakałem się ogromnie, a jeszcze potém gdym się już trochę uleczył (to jest z miłości nie z pijaństwa)—probowałem się zakochać w pierwszéj lepszéj, ale już nie mogłem, daje ci na to słowo uczciwości, mój panie!

— I nie masz już nadziei na przyszłość?

Augustynowicz zamyślił się trochę i odpowiedział:

— Nie. Nie szanuję już kobiet. Ile dawniéj wierzyłem w nie, ilem je czcił i kochał jako największą nagrodę pracy i mozołów, tyle dziś... lubię je... rozumiesz?... To wyłącza miłość.

— Ale i szczęście.

— Ani słowa: przeto dziś gwiżdżę, kiedy mi się chce płakać, i dla tego zazdroszczę ci.

Szwarc spojrzał bystro na Augustynowicza.

— Czego?

— Twego stosunku z Heleną. Nie marszcz się i nie dziw, że ja te rzeczy znam tak dobrze... Ho! ho! mamy my trochę doświadczenia! Zresztą powiem ci, ja sam chciałem się zakochać w Potkańskiéj... Ja wolę takie kobiety niż inne... Choć z drugiéj strony... E! kiedy nie wiem czy się nie będziesz gniewał.

— Mów.

— Bałem się zakochać w Potkańskiéj. Ani słowa: nieszczęśliwa kobieta—ale na brodę proroka!—cóż mnie to obchodzi? Wiem tylko, że testamentem przechodzi z rąk do rąk, że kto tylko zbliży się do niéj, zaraz otrzymuje wiekuistą szczęśliwość... brr! na honor nie chciałbym być testatorem takiego stypendyum — choćby dla przyjaciela.

Szwarc postawił na stole szklankę niedopitéj herbaty, i zwróciwszy się do Augustynowicza, rzekł zimno

— Tak, ale ponieważ ja jestem egzekutorem testamentu, bądź łaskaw mówić o zapisie z większym szacunkiem.

— Dobrze, powiem ci zupełnie seryo już nie o tém, kim lub czém jest Potkańska—ale co ty powinieneś zrobić. Mówię bez interesu—nawet na szkodę własnę. Rzecz jest taka (Augustynowicz usiadł na łóżku):—Znam ciebie, znam ją, ona ci sama rzuca się na ramiona. Incyatywa ze strony kobiety... ho! to się na nic nie zdało! Miłość to trzeba zdobyć. Za miesiąc znudzisz się, zmęczysz i ciśniesz ją do dyabła... Szwarc! ja ci dobrze życzę — żeń ty się z Heleną, póki czas...

Szwarc zmarszczył brwi więcéj niż poprzednio, i odrzekł krótko:

— Zrobię jak uznam za stosowne. *(d. c. n.)*

GENEZIS

KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (Ob. N. 43).

To ludzkie i życzliwe zapatrywanie się rozciąga Menander z konsekwencyą do wszystkich stosunków, a szczególniéj do stosunku między bogatym i ubogim, którego w szczególniejszą bierze opiekę, nie miotając się wszakże bynajmniéj przeciw bogatym. Zupełnie inaczéj było u Arystofanesa, który żyjąc w czasach największego wrzenia demagogii ateńskiéj, dochodził istnie do jakichś kommunistycznych konkluzyi. U niego, co bogaty to łotr, a uczciwość mieszkała tylko w nędzarzu; i trzeba było według niego ażeby dostatki koniecznie zmieniły posiadaczy. Zapatrywanie się Menandra jaśniejszem jest i nie tak krańcowem. Jak z jednéj strony maluje on w dosadnych a czasami rozpaczliwych nawet bar-

wach dolę ubogich, tak z drugiéj, odzywa się do bogatych, stawiając im niejako za obowiązek i za przyjemność duchową zaradzenie takiemu stanowi. Nie możemy powiedzieć, ażeby to co radzi Menander, pomyślanem było w imię jakie-i wykazywanie choćby tylko dobrego interesu w przynoszeniu ulgi cierpiącym, było krokiem nader postępowym i przynoszącym zaszczyt umysłowi poety.

Nie wymagamy i nie możemy wymagać po znowu postępują, dziś jeszcze przedmiot ten ulega dyskussyom i bardzo dalekim jest od wyczerpania. Z tego jednakże, co widzieliśmy dotąd, własnemi słowy jego poparte, przyznać musimy że pojęcia jego o tych podstawach życia



ŚLEPY LIRNIK, z gubernii Podolskiéj.

goś braterstwa lub miłości; nie idzie on tak daleko, ale ogranicza motywa swe do niestałości losu i do potrzeby zaskarbiania sobie przyjaciół na wypadek mogącéj zajść zmiany: słowem, wskazuje tylko interes wzajemny. Cóżkolwiekbądź, jak na owe czasy, takie podkopywanie egoizmu Menandrze, ażeby był ostatnim i doskonałym wyrazem w określeniu moralnych podstaw życia, któremi rządzić się mają tak jednostki, jako też rodziny i społeczeństwo całe; pojęcia podstaw tych rozwijają się rozmaicie śród wieków i społeczeństw, kształcą się, podnoszą, chwieją, cofają, bardzo zbliżają się do dzisiejszych. Cóż, gdy od stosunków powszechnych przechodząc do rodzinnych, zobaczymy na czele wyrażenie: „Postaw sobie za prawidło: czcij nade wszystko rodziców?"—Maksyma ta, literalnie prawie tłumacząca czwarte przykazanie tablic Mojżeszowych,

przewleka się po całem dziele Menandra, ilekroć wymaga tego sytuacya. Ale poeta, zobowiązując w ten sposób dzieci, nie zapomina i o obowiązkach rodziców, a mianowicie ojców. Strasznie musiało być za jego czasów sponiewierane powołanie ojca, snadź przez zbytki i rozpusty poza domowe, kiedy poeta stosunków rodzinnych nie przedstawia bynajmniéj w sielankowéj i patryarchalnéj barwie, ale przeciwnie, jako komedyopisarz, sarkazmem i chłostą obdziela naczelników rodzin, wyraźnie jak gdyby chciał im powiedzieć: patrzcie, czem być powinniście a czem jesteście, i czy w ten sposób postępując zasługujecie na tę cześć jakiéj dla was wymagam po dzieciach.

Taż sama gorycz poety rozciąga się i do kobiet. Już to przyznać potrzeba, że kobieta była po wszystkie czasy przedmiotem epigrammów komedyi, i dzisiejsza nawet ich kobiecie nie szczędzi. Komedya arystofaniczna przedstawiała z szyderczą obojętnością skandale gyneceów; komedya średnia zajmowała się głównie *demimondem*; dopiero komedya nowa zatrzymała się na kobiecie wszechstronnie, jako na członku rodziny. Zbudowany na nauce Arystotelesa, który instytucyę małżeństwa wysoko stawia w społeczeństwie i widzi w niéj obraz wszystkich form rządu, Menander zarówno ze swym mistrzem podciąga małżonków pod prawo zupełnie równe, którego mąż nigdy nie powinien przekroczyć, jeżeli chce ażeby i żona nigdy odeń nie zboczyła, a za przekroczenie uważa wszelki stosunek męża z kobietą obcą. I tu zatem znowu się powtarza jeden z przepisów zapisanych w prawie Mojżesza a przez Chrystusa nierównie ściśléj jeszcze określony. Menander wysoko ceni cnotę w kobiecie, która „może stać się zgubą lub zbawieniem domu. Niełatwo to, zapewne, znaleźć kobietę cnotliwą; ale gdy się taka znajdzie, jest ona spokojem i bezpieczeństwem życia naszego: stanowi ona niejako ster domu, do niéj należy ochraniać od wszelkiego złego,— męża i dzieci". Nigdy, do czasów Menandra, nie mówiono tak uroczyście o stosunku żony do męża; nigdy też w tak żrący sposób nie prześladowano kobiet schodzących z właściwéj drogi. O ile uroczystszą jest szata jaką poeta osłania niewiastę, o tyle złośliwszemi są jego przycinki w zastosowaniu do kobiet spółczesnych sobie, na które patrzył i które karcić był winien jako filozof i komedyopisarz. W bezładnem rozrzuceniu jego urywków trudno już rozpoznać co jest ironią a co powagą i z jakiéj jest okoliczności wypowiedziane, ale to pewna że napotykamy tam mnóstwo dyatryb wymierzonych przeciw kobietom.



JEZIORO W DOLINIE KOPROWÉJ POD MNICHEM W TATRACH.

Jeden z aktorów którejś jego komedyi powiada do drugiego:—„Jeżeli masz rozum, nie zmieniaj trybu życia jakie prowadzisz i nie żeń się: ja jestem żonatym i dlatego daję ci tę radę. „Nie, odpowiada drugi, — rzecz ubita, rzuciłem kość!" „To idźżeż, — zwraca się pierwszy, — i oby bogi dozwoliły ci wyjść cało z téj sprawy, boć ty się puszczasz iście na ocean: a nie jest to ani morze Libijskie, ani Egejskie, ani Egipskie, które trzech okrętów nie pochłaniają na trzydzieści: z pomiędzy tych co puszczają się na fale małżeństwa ani jeden nie wychodzi cało"... Dodajmy do tego takie zdania: — „Przekleństwo temu który pierwszy pomyślał by pojąć żonę! przekleństwo drugiemu, trzeciemu, czwartemu, i wszystkim tym który poszli za niémi... Nie słusznaż to wyobrażać Prometeja przybitym do skały, i poświęcać mu tylko pochodnie, nic nie dając lepszego? Popełnił on zbrodnię, która, zdaniem mojem, powinna mu zjednać nienawiść całego nieba: on to utworzył kobiety. Przeklęty ród, o! bogi najwyższe! Jak tylko mężczyzna pojmie żonę, aliści czuje jak obok niéj, tajemnie i na całe życie, wciskają się do niego wszystkie złe namiętności, nierząd igra w małżeńskiéj komnacie, leją się płyny zatrute, i najstraszniejsza ze wszystkich plag, chciwość, która ani na jeden dzień nie odstępuje kobiety... Ożenić się, to jest toż samo co zgotować sobie wyrzuty; kobieta jest, rzec można, nędzą przez naturę przywiązaną do życia mężczyzn; kobietę lepiéj pogrzebać jak poślubić... Przez kobiety rozprzęgają się najpiękniejsze i najlepiéj urządzone życia... Nie składaj życia w ręce kobiety, one znają jednę rzecz tylko: to na co mają ochotę. Życie twe pięknem będzie, jeżeli nie masz żony. Nie żeń się, a będziesz prowadził życie wolne od boleści... i t. d." Nie skończylibyśmy tak prędko, gdybyśmy chcieli wypisywać wszystkie inwektywy Menandra przeciw kobietom, w których to zdaniach jest zapewne i część takich co się nie stosują do żon, lecz i do kobiet złego życia, stanowiących częsty także przedmiot potępień poety. W każdym jednak razie, gdyby nie ten najpierwszy urywek jakiśmy przytoczyli, takim nimbem szacunku otaczający niewiastę, moglibyśmy przyjść do mniemania że komedyopisarz grecki, wiedziony jakiemś uspo-

sobieniem paradoksalnem, wziął sobie dla swawoli kobietę za cel swoich pocisków. Tak jednak nie było. Ta gorycz jego wynika właśnie z zapatrzenia się na sprzeczność pomiędzy pojęciem jakie ma o godności kobiety, a realizowaniem się jego w społeczeństwie którego stanowił cząstkę: te inwektywy dyktowała mu zapewne miłość narodu i chęć zaprowadzenia reformy w jego obyczajach.

Bez względu bowiem na ten sarkazm przeciw kobietom, miłość gra wielką rolę w komedyach Menandra. *Fabula jucundi nulla est sine amore Menandri* *), powiada Owidyusz; i oto jedna jeszeze z cech zbliżających go do tegoczesnego dramatu. Nie wyobrażajmy sobie jednak ażeby ta miłość starożytnych w zupełności odpowiadała dzisiejszéj. Jest ona tam więcéj naturalnym pociągiem dwojga płci przeciwnéj osób; w rachunek jéj nie wchodzą wzajemne skłonności umysłu, przymioty duszy które drogiemi czyni dłuższe obcowanie i poznanie się gruntowne; nie zna ona téj bezinteresowności, poświęcenia i rezygnacyi, jaką od wszelkich innych faz odróżnia się chrześciańska miłości faza. Największą rolę w niéj odegrywają bezpośrednie wrażenia zmysłowe rozbudzone zaraz przy pierwszem spotkaniu, nakształt Romea i Julii, których uczucie także ma w sobie coś ze starożytnego świata, pod gorącem zwłaszcza rozwijającego się niebem. Kochankowie też Menandra nie krępują się w swobodnem wyrażaniu tych swoich wrażeń, w których nie mogliśmy się dopatrzyć najmniejszego odcienia duchowości. Są oni raczéj oczarowani, podbudzeni, żądni posiadania, niż kochający. Lecz jakkolwiek zmysłowe, uczucie to Menander maluje z subtelną delikatnością i na niem opiera zazwyczaj intrygę prowadzącą do małżeństwa.

Ze względu na tylostronne uczucia i zasady jakie Menander w komedyach swych przeprowadza; ze względu na niezaprzeczoną ich wyższość, choćbyśmy je dzisiejszą nawet mierzyć chcieli miarą; wypadałoby zapytać siebie: jaki był jego ideał, jaka norma do któréj stosował wyznania swe o prawdzie i fałszu, o dobrem i złem? Niedosyć to powiedzieć, że on mógł się przejąć zasadami wygłaszanemi przez tego lub owego filozofa, przez Platona lub Arystotelesa, bo to jeszcze pytanie, dlaczegoby te właśnie wybrał; czemu raczéj nie poszedł za teoryą Demokryta albo Cyników?... Nauczyciel jest tylko doradcą ale nie despotą. Jak Sokrates *demona*, tak z nas każdy ma w sobie jakiegoś *Boga*, którego czci, jeśli skłonnym jest do uczczenia czegoś; rządzi się jego natchnieniami, słucha tego co mu zdaje się być jego wolą. Rozmaite są miana takiego *Boga*: będzie to albo bóstwo w znaczeniu religijnem tradycyonalnie przejętem, albo rozum osobisty, sumienie, uczucie godności, interes; w miarę tego co człowiek skłonnym jest przyjąć za powagę dla siebie.

Otóż, jaką była tu dla Menandra powaga, z resztek jego dociec nam trudno, prawie niepodobna. Nie dosyć na tem: on, jako przemawiający do mass, dla ułatwienia sobie samemu drogi do ich umysłów i przekonań, powinien by był oprzeć się na takiéj powadze, któraby dla nich miała znaczenie. Przemawia też do nich w imię jakiegoś *Boga*, ale jakiego? Taka tu jest mięszanina, że rady sobie z nią dać niemożna. Dopiero odwołuje się do bóstw mitologicznych, których kredyt zdawał się mocno zachwianym; to znów mówi o Bogu, głucho i niewyraźnie, ale jakoby o tym którego massy jeszcze nie znały. Zależało to prawdopodobnie od charakteru nadanego osobie która przemawiała w jego komedyi: w tych przemawianiach mógł się właśnie przedstawiać ów chaos pojęć metafizycznych jaki panował podówczas między myślącą ludnością Grecyi, ścieranie się systematów filozoficznych pomięszane z ostatniemi odgłosami wiary narodowéj. Za najprawdziwszą jednak, osobistą opinię Menandra, gotowibyśmy wziąść to zdanie: — „O wielcy mędrcowie! ja myślę jak wy, że człowiek sprawiedliwy ma boga swego w rozumie własnym... Słowa cnotliwe wszędy posiadają świątynie i trójnogi: wtedy bowiem rozum sam jest bogiem który prorokuje". Zdanie to zbyt poważnie i poetycznie jest wyrażonem, by doń poeta nie miał przywiązywać jakiejś osobistéj wagi, w czem nas utwierdzają jeszcze i słowa Filemona, kollegi Menandrowego, który w jednéj ze swych komedyi odzywa się:—„Wierzajcie że istnieje Bóg, i czcijcie go; ale nie zagłębiajcie się daléj: daremne czynilibyście poszukiwania. Nie pytajcie nawet siebie czy on istnieje, czy nie: czcijcie go jakoby istniał i nieodstępnie był przy was obecnym". *(d. n.)*

*) Żaden utwor miłego Menandra nie obejdzie się bez miłości.

KORESPONDENCYA.

Lwów, w Maju.

Hałas—wrzawa—muzyka grzmi—piszczałki piszczą— brzęczą żele janczarskiéj kapeli—wszystko co żyje śpieszy ulicą Jagiellońską do ogrodu miejskiego, gdzie w drewnianéj budzie wyprawia hece cyrk Sydolego, skaczą uczone konie, wywracają kozły akrobaci i śmieszą publikę gipsem pobieleni clowni. Cyrk pełny — w teatrze pustki. I to także może posłużyć jako materyał temu, ktoby chciał kreślić obraz tutejszego społeczeństwa. Pomiędzy publiką śpieszącą do cyrku dwie dominują warstwy,—żydzi i magnaci. Żydzi wszelkiego stanu, począwszy od drobnych pauperków aż do najwyższych warstw finansowych. Processya ekwipażów magnackich zatarasowuje wstęp do cyrku. Ten sam stosunek odwrotnie okazuje się w teatrze. Loże i krzesła pierwszych rzędów zajęte niegdyś stale przez magnateryę, a na operze niemieckiéj przez bogatą ludność żydowską, stoją w czambuł puste, lub jeżeli która z nich jest zajęta, to widz obeznany ze zwykłą publiką teatralną, spostrzega w nich twarze obce, osoby nieznane, które się tam jakby w przelocie zabłąkały. Podobnież pustką stoją miejsca tańsze, trzecie piętro i galerya, gdzie na teatrze niemieckim roiło się uboższą publiką żydowską. Tylko na parterze i krzesłach parkietowych zbiera się gronko stałych amatorów, garstka intelligencyi, wielbiącéj sztukę *à tout prix*. Znaczna część miejsc zapełnia się widzami gratysowymi, sproszonymi do teatru dla konwenansu, żeby przecież nie wszystkie loże świeciły pustkami i nie wszystkie krzesła stały niezajęte. Komuż właściwie przepisać winę takiego stanu rzeczy, grożącego upadkiem sceny, gdyby tak daléj potrwać miało? Czy potępić publiczność, czy tych co dyrygują teatrem? Co przedsięwziąć, aby rzeczy zmienić na lepsze, aby przełamać ową formalną zmowę anti-teatralną, która się objawiła od czasu objęcia teatru przez nową dyrekcyę tak uderzająco i boleśnie dla teatralnéj kassy w pewnych sferach tutejszéj publiczności? Jeżeli jesteśmy w ogóle nieprzychylni wszystkim obecnie tak często powtarzającym się *strikom*, to témbardziéj przeciwni być musimy im tam, gdzie chodzi o podniesienie sceny. Ale aby być sprawiedliwym, wyznać należy, że podobno nie ze wszystkiém sama już tutaj winna publiczność, że zniechęcenie to bodaj czy nie zrodziło się skutkiem postępowania komitetu dyrygującego teatrem pod firmą Towarzystwa akcyjnego przyjaciół sceny, czy nie jest następstwem wadliwego prowadzenia i organizacyi teatru? Podobno nie ze wszystkiém dobrze idzie w państwie Melpomeny. Z początku prowadził artystyczną dyrekcyę sędziwy, zasłużony Smochowski, ale z końcem pierwszego miesiąca usunął się, albowiem późny wiek nie dozwalał mu prowadzić z tylu trudami połączonéj dyrekcyi. Obecnie dyrekcyę objął Ładnowski, ale reżysserya codziennie w innych ręku. Z po za kulis dochodzą do uszu publiczności skargi na brak sprężystego i jednolitego prowadzenia rzeczy, na upośledzenie dawniejszych artystów miejscowych a faworyzowanie młodych nowo przybyłych. Ale to są rzeczy zakulisowe. Nas nie obchodzi co się dzieje w kuchni, byle potrawa była dobra—umiejętnie i smacznie przyrządzona. Po kilku tragedyach jak *Zbójcy*, *Otello*, *List żelazny*, w których Ładnowski miał sposobność okazać przed nami swój wszechstronny, do wysokiéj potęgi artyzmu rozwinięty talent, repertuar składa się przeważnie z ogranych komedyj Sardou, Scribea, Feuilleta, powtarzanych co parę dni. Nie można zatém mieć tak dalece i publiczności za złe, iż nie zapełnia teatru, skoro jéj podają to, co niemal przejadło się za przeszłéj dyrekcyi. Zresztą postępowanie komitetu przybrało cechę tego rodzaju, iż zniechęciło akcyonaryuszów zawiązać się mającego towarzystwa i subskrypcya na akcye, do któréj początkowo z zapałem się rzucono, upatrując świetną przyszłość sceny w objęciu jéj steru przez Towarzystwo, obecnie niemal zupełnie ustała, nie doszedłszy podobno i połowy wymaganéj statutem liczby tysiąca członków. Zniechęcenie to ztąd poszło, iż komitet zamiast uważać się za Komitet Założycieli Towarzystwa, pod którego firmą pozornie występuje, działa zupełnie samowolnie, nie trzymając się toru wskazanego statutami, otoczył się tajemniczością, usunął z pod kontroli publicznéj, nie zwołał komitetu artystycznego, zwinął szkołę dramatyczną, nie zwołuje walnego zgromadzenia akcyonaryuszów, słowem przekraczając we wszystkiém wymagania statutu, uważa się jako spółka prywatnego przedsiębierstwa, używając pomimo tego firmy Towarzystwa. Oto jest prawdziwa przyczyna zobojętnienia, zniechęcenia publiczności, przyczyna leniwego postępu subskrypcyi i pustek w teatrze, grożących upadkiem przedsiębierstwu. Jeszcześ w tym miesiącu występy gościnne poratują kassę. Warszawa ma dostarczyć kontyngensu znakomitych gości. Rapacki już przyjechał i zabawi przez cały miesiąc. W połowie miesiąca maja ma przybyć Modrzejewska, a później podobno i Jan Królikowski. To zelektryzuje na jakiś czas naszą artystyczną publiczność i posili kassę teatralną; ale co będzie po odjeździe gości, jeżeli komitet nie zmieni swego postępowania i rzeczy pójdą daléj tym torem, na który je wprowadzono? Świetne nadzieje podniesienia sceny, o których się tak wiele mówiło, spełzłyby na niczém, jeżeliby Towarzystwo się nie zawiązało, a przedsiębierstwo teatralne pozostało w ręku prywatnych, na co się obecnie zanosi. Dotąd można powiedzieć, że tylko opera utrzymuje teatr i uchroniła budżet od niedoboru w pierwszym miesiącu. Opera polska, nowość pierwszy raz widziana we Lwowie, nie ma wprawdzie sił dostatecznych, bo oprócz przybyłych z Warszawy panny Kwiecińskiéj, Cieślewskiego

i Borkowskiego, musi się posiłkować gośćmi i ograniczać na przedstawieniu oper mniejszych, niewymagających liczniejszego artystycznego personelu. Jakoż repertuar jéj w tym miesiącu kręcił się w kółku trzech oper: *Halka*, *Faust* i *Córka półku*, powtarzanych na przemian wielokrotnie, w których panna Kwiecińska zachwycała publiczność swym niezrównanie wdzięcznym i umiejętnie wyrobionym śpiewem; a teraz ma nastąpić *Traviata* z gościnnymi występami pani Friderici-Jakowickiéj. Opera polska ma przyszłość we Lwowie, albowiem publiczność tutejsza w ogóle wziąwszy jest bardzo muzykalna, a znaczna jéj część, mianowicie majętniejsza ludność żydowska, jedynie na operę pójdzie do teatru. Muszę zatém sprostować zdanie autora umieszczonych nie dawno w „Wieńcu" *Uwag o teatrze warszawskim*, który twierdząc, że opera nie zdoła się we Lwowie utrzymać obok dramatu, wróży, iż zaangażowani do tutejszéj opery artyści warszawscy powrócą tam wkrótce po upadku opery lwowskiéj. Nie śmiałbym na pewno przesądzać przyszłości tutejszéj opery, bo to od wielu różnych okoliczności zależeć będzie; wszelako twierdzenie powyższe oparte jest na nieznajomości stosunków tutejszych miejscowych i jeżeli co zaszkodzi operze naszéj, to pewno nie dramat. Jest u nas warstwa publiczności, niezmiernie liczna, uczęszczająca do teatru jedynie na operę, i nieznająca powabu innego rodzaju widowisk scenicznych. Wzwyczajona uczęszczać na operę niemiecką, gdy tejże nie stało, zmuszona dzisiaj jest szukać przyjemności teatru i użycia artystycznego w operze polskiéj, i dla tego opera ma zapewniony byt we Lwowie. Dramat jéj nie zagłuszy, ale przeciwnie ona będzie nieraz źródłem zasiłku dla dramatu, jak to się już i dzisiaj dzieje. Opera uchroniła zaraz w pierwszym miesiącu budżet teatralny od niedoboru, i nieraz zapewne to się jeszcze powtórzy, iż stanie się kotwicą ratunku w budżecie, zwłaszcza jeżeli się w siły wzmoże i wyrobi sobie sympatyę u publiczności. Nie można zatém podzielać nadziei aby, artyści opery lwowskiéj rychło mieli wrócić do Warszawy, zmuszeni opuścić scenę lwowską, na któréj tak uprzejmie zostali przez tutejszą publiczność przyjęci *). Jednoby tylko mogło zadać istotnie niebezpieczny cios młodéj naszéj operze, a mianowicie to, gdyby wróciła opera niemiecka. Ale dziś o tém mowy być nie może. Przedsiębierca, któryby się ważył na to, zbyt wiele naraziłby musiał dla bardzo wątpliwych na wszelki sposób widoków. Wprawdzie przebąkują, iż Miłaszewski, były dyrektor teatru tutejszego, zamyśla o czémś podobném; lecz na dziś są to jeszcze rzeczy w bardzo dalekiém polu, wieści puszczane raczéj na straszaka dla panów przedsiębierców teatru Skarbkowskiego, mające wszelki pozór barwistéj mydlanéj blagi.

A przecież Lwów nasz to grunt, na którym się doskonale udaje ta paryzka roślina, zwana *blagą*, szczęśliwie do nas zaniesiona z Zachodu, którą niegdyś w domorosłym, swojskim kształcie po prostu *tumanem* zwano. Że egzotyczna blaga doskonale się u nas udaje i buja sobie swobodnie, mieliśmy dowód téj zimy w występach jakiegoś pana Mallefille, Francuza, który tu przyjechawszy ogłosił konferencye, czyli mówiąc po polsku *gawędy* w ratuszu, na których przed zgromadzeném kółkiem śmietanki arystokratycznéj nagadał niestworzonych rzeczy o wszystkiém i o niczém, śpiewał po koncertach, zjadał obiadki po arystokratycznych salonach, a w końcu umknął z jakąś boną czy pokojówką, nie bardzo zaszczytne zostawiając po sobie wspomnienie. Blaga francuzka nie zawsze jednak niezaszczytne przybiera zwroty — częstokroć pozostaje sobie ona bardzo niewinnym eleganckim tumanem, jak naprzykład ów puszczony téj zimy o 40,000 rs. złożonych przez jakowegoś magnata ukraińskiego na cele sztuki lub jak konferencye pana Leona Zenona, których było dwie w zeszłym miesiącu, jedna po francuzku, druga po polsku. Szczególna to rzecz z tym panem Leonem Zenonem: zdaje się jak gdyby lubował się w kontrastach i antytezach; w afiszach wyliczył cały szereg Towarzystw uczonych, których jest członkiem, a konferencyę swą rozpoczął zapewnieniem, iż nie jest wcale uczonym, i że nie ma do tego najmniejszéj pretensyi; zapowiedział pogadankę *o scenomatologii*, co ma podobno tyle znaczyć co sztuka pisania dramatów, czy może dramaturgia, a mówił o polityce i humorystyce, o sarkazmie i miłości, o Szekspirze i redaktorze Dziennika polskiego, Lamie, o księciu serbskim Wratce i Łozińskim, który pisze powieści, prelekcye i inne książki, o początkowych dziejach Galicyi, znajdując tam niewyczerpany zdrój inwencyi i temat podawany jak kuropatwa w rozmaitym sosie. O tych i o innych wielu jeszcze rzeczach mówił pan Zeno ze swadą i pewnością siebie, jakiéj się tylko nabiera we Francyi mówiąc o niczém. Na pierwszéj konferencyi zebrało się dosyć liczne grono arystokratycznego towarzystwa; na pogadance drugiéj liczba słuchaczów nie dosięgła tuzina. Widać, iż są rzeczy, które się lepiéj udają po francuzku, niżeli po polsku.

Nie myślcież bo znów, żebyśmy tutaj żyli samą blagą. Dosyć spojrzeć na ten stos książek, który w téj chwili mam przed sobą, woniejący jeszcze świeżém czernidłem drukarskiém, aby się przekonać, że prassy lwowskie nie próżnują, że umiemy przecięż zająć się także i czémś poważném, że literatura u nas nie żyje samą belletrystyką. Oto ten gruby kwartant, to *Akta grodzkie i ziemskie* wydawane z polecenia Wydziału krajowego na mocy uczynionego na ten cel zapisu przez ś. p. Aleksandra Stadnickiego pod redakcyą professora Liskego. Jest to już trzeci tom tego wydawnictwa i zawiera 130 dyplomatów oryginalnych z archiwów rozmaitych miast. Najwięcéj dostarczyło do tego tomu archiwum samego miasta Lwowa z XIV po koniec XV wieku. Były one już odczytane, objaśnione i do druku przygotowane przez ś. p. Wagilewicza, byłego dyrektora tutejszego miejskiego archiwum. Akta te zostały obecnie na nowo krytycznie opracowane i pomieszczone razém z dawniejszemi objaśnieniami Wagilewicza. Dr. Liske uczynił wszystko, aby wydanie odpowiedziało wymaganiom krytyki naukowéj. Niemniéj ważny opuścił prasę *Dyplomataryusz miasta Wieliczki*, wydany staraniem redakcyi *Gazety Lwowskiéj*. Historyk ma w obu tych wydawnictwach obfity materyał wielkiéj wartości, rzucający światło na najrozliczniejsze stosunki społeczne, prawne, administracyjne, polityczne, handlowe, gospodarskie najciekawszéj epoki dziejowéj. Daléj nasuwa mi się pod rękę pierwszy zeszyt *Biblioteki pedagogicznéj* zapowiedzianéj przez Stanisława Sobieskiego, inspektora szkół. *Biblioteka* ta ma objąć wszystkie pisma pedagogiczne, jakie posiadamy w naszéj literaturze, jako też i przekłady obcych dzieł znakomitszych na tém polu. Będą tam pomieszczone odnoszące się do tego zakresu pisma Piramowicza, Kołłataja, Czackiego i t. d., tak, iż *Biblioteka* przedstawi cały rozwój naszéj literatury pedagogiczno-dydaktycznéj, co przy odbywającéj się właśnie u nas reorganizacyi systemu szkolnego, niezmiernie będzie użyteczne, zwłaszcza dla nauczycieli kształconych po większéj części na obcych dziełach i obcym systemem, którzy nie mieli sposobności przyswoić sobie pojęć na swojskim gruncie dojrzałych i zapoznać się dokładnie z własną literaturą w swym zawodzie. Pierwsze zeszyty *Biblioteki* zawierają *Ustawy szkolne komissyi edukacyjnéj*. Wreszcie mam jeszcze przed sobą *Dzieła Józefa Supińskiego* zawierające w pięciu tomach wszystkie pisma, wraz z wybornie wykonanym wizerunkiem znakomitego naszego ekonomisty. Dotąd prace jego wychodząc pojedynczo, nie były należycie ocenione przez krytykę ściśle naukową. Dziś razem zebrane przedstawiają dokładnie cały system, odznaczający się wielu nowemi poglądami, i dozwalają ocenić stanowisko, z którego autor buduje swoją *Szkołę gospodarstwa społecznego*. Supiński szerokie zakreśla ramy swemu systemowi, który opiera na prawach ogólnych rządzących wszechświatem, to jest światem przyrody i światem ludzkim, czyli na gruncie świata powszechnego zbudowanym światem społecznym. Świat powszechny podaje tworzywo, materyał, który człowiek otrzymując *darmo* z rąk otaczającéj go przyrody przetwarza, wlewając weń swą wiedzę i pracę w wartość użyteczną i tworzy tym sposobem *zasób społeczny* będący wyłączną, moralną własnością człowieka, jako wynik jego osobistéj wiedzy i pracy. To jest główna podstawa ekonomicznego systemu Supińskiego, opartego na owém pojęciu zasobu społecznego. Supiński spotyka się tutaj z Careyem, ale stwarza sobie samodzielne stanowisko, z którego rozwija swój system, gdzie pełne bystrości i głębokości poglądy snują się jak z kłębka z praw ogólnych, obejmujących w jedną całość świat powszechny i ludzki. W szeregu rozpraw zawartych w tomie czwartym obrabia szczegółowo wiele ważnych kwestyj ekonomicznych, odnoszących się wprost do krajowych stosunków i potrzeb, jak np. rzecz o spółkach i stowarzyszeniach, projekt zaliczkowego banku połączonego z kassą oszczędności i t. p. Opierając pojęcie zasobu społecznego, jako też w ogóle pojęcie użyteczności i wartości na summie wiedzy i pracy, jaką człowiek wnosi w materyę, aby ją zużytkować i na swoją własność urobić, oparł Supiński tém samém pojęcie, własności osobistéj na niewzruszonéj podstawie, uczynił ją logicznym, koniecznym wynikiem osobistéj wiedzy i pracy, i zadał tym sposobem stanowczy cios komunizmowi i wynikającym zeń najrozmaitszych odcieni zachciankom socyalnym, sprowadzającym społeczeństwo z drogi prawości i ekonomicznéj konsekwencyi.

ŚLEPY LIRNIK.

Z GUBERNII PODOLSKIÉJ.

Załączony tu drzeworyt przedstawia ślepego lirnika, jednego z tych jakich wielu spotkać można na całém obszarze Podola, Wołynia i Ukrainy. Chodzą oni od wsi do wsi, prosząc jałmużny, przygrywając za to na swéj lirze i śpiewając różne pieśni ludowe, stósownie do okoliczności. Zwykle na odpustach, jarmarkach i wszelkiego rodzaju liczniejszych zebraniach ludowych siadają przy mostach lub drogach krzyżowych, czekając na wsparcie

*) Szanowny korrespondent opiera widocznie zdanie swoje na informacyach dawniejszych. Najświeższe wiadomości ze Lwowa nie potwierdzają bynajmniéj jego optymistycznych zapatrywań, ale przeciwnie stwierdzają w zupełności przewidywanie autora artykułu „O operze warszawskiéj". (*Przyp. Red.*).

od przechodniów. Śpiew ich jest monotonny, a dźwięk ich liry chrapliwy i piskliwy, ale lud lubi słuchać tych lirników, którzy mu pieśni jego śpiewają, nieraz zdarzy się widzieć liczne grono słuchaczów otaczających lirnika, a dla dziatwy wiejskiéj prawdziwe to już szczęście, gdy do wsi nadejdzie. Siedzący obok niego chłopiec, to tak zwany *perewodyr* jego, który prowadzi niewidomego piewcę.

JEZIORO W DOLINIE KOPROWÉJ pod Mnichem w Tatrach.

Ktoby mógł wątpić, iż Tatry nie są dość zajmujące pod malowniczym względem, że nam koniecznie potrzeba alpejskich wyżyn południa i zachodu, aby umysł i czucie napoić wrażeniami podnoszącemi, a rozszerzającemi widnokrąg poglądów na piękno przyrody i na jéj wpływ na człowieka, niechaj spojrzy na te olbrzymie szczyty, pośród których przez całe lato śnieg szczeliny zalega, niech sobie wyobrazi te przejrzyste zielono-szafirowe oka wód oprawione w kwarcytowe spadzistości, niechaj się przeniesie myślą i wyobraźnią w tę krainą dzikiéj ciszy, a dzikszego jeszcze szelestu spadającéj wody lub wichrów zachodnich; a przekona się, że tatrzańskie zmarzłe stawy, jeziora górskie, wody i szczyty których tu dajemy skromną cząstkę w rycinie, warte są innych alpejskich okolic.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

TRZY KAPELUSZE,

Komedya w trzech aktach

Alfreda Hennequin,

tłumaczona z francuzkiego.

(*Pierwsze przedstawienie 26 Maja b. r.*)

Pragniemy podzielić się z naszymi czytelnikami przyjemną wiadomością. Sławna i niezmiernie szlachetna i już nad wszelki wyraz pożyteczna firma Gavaud et Minard zrobiła widocznie na warszawskiéj scenie korzystny interes.

W dniu, którego datę niniejszém upamiętnić chcemy (nie chwaląc się, uczucie wdzięczności nie jest nam obcem), rozszerzyła ona swoją zasłużoną *spółkę*, przybrawszy do niéj za sprzymierzeńca płód duchowy p. Hennequin pod tytułem: *Trzy kapelusze.*

Stało to zapewne ku prędszemu dopięciu moralnych i estetycznych celów, jakie ta zaszczytna firma postanowiła sobie spełnić na naszym gruncie.

Zresztą, Gavaud et Minard już się trochę zestarzeli. Roztropnie więc było przysposobić im zawczasu godnego następcę.

Kto go odszukał w barłogach skandalicznéj francuzkiéj literatury? na pewno powiedzieć nie możemy. Nietroskliwy o laury tłumacz ukrył dyskretnie swoje nazwisko. Tém chwalebniejsza bezinteresowność im piękniejszy uczynek. Wewnętrzne zadowolenie że się złożyło wdowi łachman na śmietnisku sztuki powinno wynagrodzić bezimiennemu pracownikowi marny rozgłos, którego wyrzekł się dobrowolnie.

Oprócz szacunku dla tłumacza należy się jeszcze uznanie opiekunom komedyi p. Hennequin w przekładzie polskim. Sztuka jest, jak mówią, kapłaństwem, a w sztuce drammatycznéj nietylko ci co piszą, tłumaczą lub przedstawiają utwory są jéj kapłanami, lecz nadto namaszczenie artystyczne udziela się także i klucznikom przybytku Muzy. Nie mniéj więc zawdzięczamy tym ostatnim widowisko *Trzech kapeluszy*, które przed kilku dniami podziwialiśmy gromadnie w *wielkim* teatrze...

— Trzy kapelusze... i nic więcéj? Cóż może być w tem tak osobliwego? zapytasz mię czytelniku, nie ty Monsieur czytelniku mieszkający w murach Warszawy, ale ty Mości Dobrodzieju czytelniku na prowincyi. Nasz Monsieur i nasze Mesdames nie zrobiłyby mi takiego pytania, bo w chwili gdy to piszemy, już bez wątpienia większa ich część zachęcona sprawozdaniem pism codziennych odbyła eksploracyjną wędrówkę do gmachu teatralnego, żeby osobiście przekonać się o zaletach nowego przedstawienia. Gdyż trzeba ci wiedzieć sielankowy gospodarzu że dzienniki zgromiły komedyę, twierdząc iż jest nieprzyzwoitą co naturalnie musiało w najwyższym stopniu podrażnić ciekawość dwóch płci i trzech pokoleń ludności naszego miasta. Poznali już zatem brukowcy nasi, co się to dobrego ukrywa podtemi trzema cylindrami, które kolejno zmieniają na scenie pp. Duppraillon (Żółkowski), Abel (Ostrowski) i Temidart (Szymanowski), ale prowincya... och, ta do czasu jeszcze pod tak ważnym cywilizacyjnym względem musi być zacofaną! „Trzy kapelusze, powiadasz, i nic więcéj". Doprawdy, to *nic więcéj* bardzo mi się podoba. Mało jemu trzech kapeluszy! A czy zgadłbyś zacofany mieszkańcze wsi, że jest tu ich za nadto o całą trójcę, niedlatego (zmiłuj się, nie rób takich przypuszczeń) żeby głowa nie przyjmowała żadnego udziału w téj dowcipnéj kompozycyi, ale ponieważ cała rzecz odbywa się w pokoju, gdzie jak wiesz, cylindry i szapoklaki niepotrzebują być używane.

Przekrojone z francuzkiego na polskie Trzy kapelusze p. Hennequin inne też spełniają przeznaczenie. Są to trzy kuglarskie czapki z których sypią się liche strzępy konceptu pościągane z najbrudniejszych kątów prywatnéj rozpusty ku uciesze widzów doświadczonych, a chyba już ku zbudowaniu mniéj praktycznych.

Usunąwszy plastykę szczegółów, obowiązani jednak jesteśmy streścić choćby tylko najogólniéj samą osnowę komedyi.

Zdarzyło się niefortunnemu p. Dupraillon w czasie nieobecności małżonki przepędzić noc za domem. Pokusa była za wielką żeby słomiany wdowiec mógł jéj oprzeć się, zwłaszcza po uczcie suto skropionéj winem. Służący widząc pościel nieruszoną domyślił się przygody, bezsenność pozbawiła p. Dupraillon statecznych rumieńców za utratę których czekała go odpowiedzialność przed połowicą, a na dobitkę dręczyło go wspomnienie pięściowego starcia się na ulicy z jakimś nieznajomym przechodniem. Wprawdzie p. Dupraillon wyszedł z walki bez guza, ale uciekając przed nadchodzącą policyą, chwycił w popłochu leżący na ziemi kapelusz przeciwnika, a natomiast zostawił mu swój własny, opatrzony imieniem i nazwiskiem posiadacza. Ten nieszczęsny zakład znajdując się w nieprzyjacielskiem ręku zdradzał incognito p. Dupraillon, zagrażał mu niebezpieczeństwem pojedynku, a co gorsza mógł doprowadzić po nici do kłębka, na ślad całéj nocnéj awantury, czego niewierny małżonek życzył sobie za jakąbądź cenę uniknąć. Jedyny środek uprzedzenia kompromitacyi był zarazem sposobem nader trudnym. Jak odszukać i przeprosić obrażoną stronę gdy nazwisko Duranda odczytane na przyniesionym do domu kapeluszu należało do stu kilkudziesięciu mieszkańców Paryża! A tu czas naglił, żona powróciła z wycieczki i lada chwila można było spodziewać się przybycia sekundantów, lub nawet samego p. Durand z krwawém wyzwaniem.

Jest to oś obrotu komedyi. Pomijamy równie zręcznie pomyślane jéj ubarwienia, oraz wszelkie jaskrawsze rysy. Nasi artyści warszawscy starali się je uwydatnić tak dosadnie żeby to czego na scenie przedstawić nie wolno, odtworzyło się wyraźnie w domyśle publiczności. Taka dokładność nadaje przedstawieniu dwie pilnie utrzymane cechy: wdzięcznéj zabawy i popularnéj, zastosowanéj do różnych wieków i pojęć prelekcyi. I któżby tu jeszcze odważył się wątpić o powadze instytucyi, o dobrze zrozumianém dostojeństwie powołania i o pożądanym wpływie teatru na smak i obyczaje społeczne?

Wszakże nasi uprzedzeni pozytywiści niejednokrotnie temu zaprzeczają. Czy Trzy kapelusze potrafią zadać kłam stronnéj ich opinji? niech raczéj odpowiedzą na to ci, którzy z bezpośredniego swego obowiązku czuwać u nas nad godnością sztuki drammatycznéj powinni...

Sprostowanie. W numerze 43-cim, na stronnicy 403, szpalcie 2, wiersz 12, zamiast *1822*, powinno być *1832*.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Мая (3 Іюня) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.